

Osobiste postscriptum. Dziesięć lat *Summorum Pontificum*

Tomasz Rowiński

*Poświęcam pamięci o. Bernarda-Marie Dewilde'a
(1952–2014)*

Do regularnego uczestnictwa w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, czyli w tzw. Mszy trydenckiej, dołączyłem dosyć późno. To musiała być prawdopodobnie druga połowa roku 2010, po powrocie z rekolekcji liturgicznych „Mysterium fascinans”, które odbyły się we wrześniu tamtego roku. Pamięć jest zawodna i mogło to być też nieco wcześniej – rzecz już nie do ustalenia, ale wyraźnie odcisnięte w pamięci wrażenia zarówno z Mszy śpiewanej, jak i cichej z tych rekolekcji wskazują na ten okres. O tym, że chcę tego uczestnictwa, że chcemy go jako rodzina, wiedzieliśmy przynajmniej rok, a możliwe, że dwa lata wcześniej, a jednak nie podjęliśmy skutecznie tego duchowego wezwania. Pierwsza nieudana próba rozpoczęcia stałego uczęszczania na Mszę trydencką – prawdopodobnie był to grudzień 2008 roku – zakończyła się stłuczką samochodową i małżeńskim nieporozumieniem. Cóż, dobre rzeczy nieraz napotykają trudności. Wcześniej w „starej” Mszy zdarzyło się nam brać udział tylko dwukrotnie i nie byliśmy tym doświadczeniem porwani. Co więcej, bardzo chcieliśmy w niej uczestniczyć aktywnie, gdy tymczasem nawet nie byliśmy w stanie rozpoznać części Mszy. Dziś, po latach, trudno mnie samemu pojąć tę całkowitą obcość rytu będącego w sercu katolicykości, przeżywaną przez zaangażowanych w wiarę katolików. Pierwszy przypadek uczestnictwa to była bardzo uroczysta Msza święta w kościele św. Benona na warszawskim Starym Mieście, a drugi Msza cicha w tej samej okolicy, w kościele Nawiedzenia NMP na Przyryнку. Z powodu trudności w odbiorze tej liturgii do Mszy w nadzwyczajnej formie

rytu rzymskiego przybliżaliśmy się raczej z przekonania niż jakiegoś rodzaju religijnej przyjemności.

Owo przekonanie, że liturgia – i to nie byle jaka – jest, jak mówi Sobór Watykański II w Konstytucji o liturgii świętej, „źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego”, dojrzewało w nas przez jakiś czas. To dojrzewanie było przede wszystkim poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, jaka jest autentyczna modlitwa Kościoła. Aspekt estetyczny – często podkreślany przy okazji celebracji Mszy trydenckiej – znajdował się w tle, ponieważ nie mieliśmy żadnych bardziej szczegółowych wyobrażeń o tym, jak taka Msza wygląda czy powinna wyglądać, a wspomniane pojedyncze doświadczenia nie wypadły zbyt budująco, w dużej mierze zapewne przez dezorientację. Trudności z „przebicciem się” do starej liturgii na początku dawały wrażenie obcowania z czymś całkowicie odmiennym od nowej Mszy, czyli Mszy znanej z większości kościołów na świecie.

Jak zatem doszło do liturgicznej „konwersji” naszej rodziny? Najpierw – prawdopodobnie około roku 2001 – miało miejsce zetknięcie z liturgią według nowego rytu, którą odprawiali warszawscy dominikanie w swoich kościołach na Starym Mieście i Służewie. Było to zetknięcie z czymś odmiennym od przeciętności i braku poczucia obecności świętości podczas Mszy parafialnych. Potem nastąpiło zetknięcie z liturgią – naprawdę dla nas wtedy przejmującą – we Wspólnocie Błogosławieństw we Francji w domu Świętego Łukasza w Cuq-les-Vielmur. Znaczące było dla nas to, że na wzór życia mnichów życia liturgiczne – nie tylko Msza – znajdowały się tam na pierwszym miejscu. W domu wspólnoty we Francji, z którym byliśmy związani, elementy duchowości charyzmatycznej nie szły w parze z liturgiczną bylejąkością i lekceważeniem formy. Pietyzm kapłanów podczas odprawiania Mszy, śpiewy gregoriańskie i te zaczerpnięte z tradycji wschodniej, nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu. Zobaczyliśmy tam wtedy niezwykłą, jak nam się wtedy zdawało, a po prostu przedsoborową „zastawę” ołtarzową, którą kapłani wspólnoty przygarniali z miejsc, gdzie „nie była potrzebna”, do tego przywiązanie do gestów, godna oprawa muzyczna. Jak wspominałem, wiele tam było fascynacji chrześcijańskim Wschodem, ale te zapożyczenia także ułatwiły nam później zrozumie-

nie sensu i smaku tradycji liturgicznej Zachodu. We Wspólnocie Błogosławieństw lubiano powtarzać, że liturgia jest „antycypacją Królestwa Bożego”. To proste stwierdzenie pracowało w nas i urabiało nowego ducha, który potem, gdy okrzepł, pozwolił nam się oderwać od wschodniego liryzmu liturgii obecnej w naszym domu we Francji czy też w liturgii nowodominikańskiej. Równocześnie docierało do nas, że liturgia to nie tylko czas spotkania wspólnoty, miejsce „dystrybucji” sakramentów, skupienie na modlitwie czy możliwość doświadczenia piękna. Liturgia nie wyczerpuje się i nie tłumaczy w tych poszczególnych swoich elementach, które częściowo można głębiej przeżyć gdzie indziej. Rytuał liturgiczny – odprawiony z zachowaniem własnych zasad – jest uczestnictwem w innej rzeczywistości. Jest inicjacją i przejściem. Przejściem człowieka przez czas niedostępny w codzienności, ale i przejściem Boga, Jego wielkim i niemożliwym do pojęcia przybliżeniem się do nas. Może właśnie dlatego ostatecznie nie zraziło nas to, że nic nie pojęliśmy z pierwszych doświadczeń z Mszą?¹ W tym samym okresie, w innej wspólnotce katolickiej, zobaczyliśmy, jak liturgia może być poniewierana, jak nic nie znaczy, jak się ją skraca, uczłowiecza, pozbawia misterium. Wszystko to miało miejsce w takim natężeniu, że liturgia ta stawała się udręką, a nie pokarmem duszy.

Około roku 2006 przełożonym „naszego” domu Wspólnoty Błogosławieństw został o. Bernard-Marie Dewilde, były benedyktyn z opactwa we Flavigny, który po roku szabatowym spędzonym we Wspólnocie Błogosławieństw został tam już, po okresie próbnym, na stałe. Benedyktynem był od roku 1974, a kapłanem we Wspólnocie Błogosławieństw od 1996, w ostatnich latach życia pełnił funkcję przełożonego wszystkich braci. Znał on dawną liturgię i poprzez rozmowy popchnął nas w jej kierunku. To popchnięcie nie było niczym wielkim. Starożytna liturgia katolicka już wtedy bardzo nas pociągała, ponieważ była dla nas świadectwem wcielonej ciągłości wiary, czymś własnym, a nie jak w przypadku elementów zapożyczonych ze Wschodu – pięknych, bo egzotycznych. Jednak równocześnie wciąż odczuwaliśmy w Kościele klimat niepewności, czy na pewno właściwe jest przywiązanie do tej Mszy. Tymi niepewnościami, a jednocześnie skłonnościami dzieliłem się z naszym przełożo-

¹ Więcej pisałem o tym w eseju *W rytuałach jest życie* opublikowanym w książce *Bękart Dantego. Szkice o zanikaniu i odradzaniu się widzialnego chrześcijaństwa*, Kraków 2015, oraz w „Christianitas”, nr 53-54/2013.

nym. Byliśmy wtedy kimś w rodzaju oblatów we Wspólnocie Błogosławieństw. Ojciec Bernard-Marie zareagował zdawkowo, ale z pełnym zrozumieniem: „dobrze, że szukacie w tę stronę, to wielka tradycja Kościoła”. W tamtym kontekście było to jak zdjęcie z serca ciężaru. Dziś trudna jest chyba do wyobrażenia ta atmosfera, podobnie jak nam już wtedy wydawała się niemożliwa atmosfera ucisku wobec Mszy i ludzi jej wiernych z lat wcześniejszych. Choć pewnie w różnych środowiskach niechętnych tradycyjnej liturgii rzymskiej klimat taki mógłby powtórzyć się w obu wersjach jeszcze dzisiaj. Jednak dziesięć lat po *Summorum Pontificum* nurt katolicyzmu tradycji jest na tyle szeroki, że nikt nie pozostanie sam z liturgicznymi odkryciami, w których to, co stare, naraz okazuje się bardzo nowe.

Gdy dziesięć lat temu Papież Benedykt XVI za pomocą motu proprio *Summorum Pontificum* (które zastąpiło ograniczone w zakresie motu proprio *Ecclesia Dei*) „uwalniał” dawniejszą formę katolickiej liturgii objętą do tego czasu rzekomymi kościelnymi zakazami, za swoje przyjąłem słowa, jakie w „Christianitas” ukazały się w roku następnym, a które sformułował redaktor naczelny naszego pisma Paweł Milcarek. W tym czasie – w roku 2008, po rocznej roli współpracownika – dołączyłem też do zespołu kwartalnika, który stał się moim środowiskiem życia i pracy.

Trzydzieści i czterdzieści lat temu zostawało się tradycjonalistą po prostu dlatego, że odmawiało się zupełnie wprost i bezczelnie propozycji porzucenia z dnia na dzień tego, co jeszcze wczoraj wszyscy czcili jako najświętsze lub szanowali jako uświęcone wiarą stuleci. Dwadzieścia lat temu można było zostać tradycjonalistą już choćby ze wstrętu do tandety nazywanej przypadkowo „szlachetną prostotą” i nieuctwa traktowanego jako „oczyszczenie”, podniesionych do rangi cnót „współczesnego człowieka”. Dziesięć lat temu zostawało się tradycjonalistą wtedy, gdy się odkrywało to, co „stare” jako absolutnie nowe, tak wyraźnie różne od świeżej „tradycji” z lat 60. i 70., i gdy się „wracało do źródeł” wbrew neoneoscholastyce Rahnera. Dzisiaj jest się tradycjonalistą, gdy się wita z radością

i zaangażowaniem „nowe treści” wnoszone do życia Kościoła przez Benedykta XVI – a te nowe treści to: przywrócenie starej Mszy i utradycjonienie mszału nowego, akcent na Ojcach Kościoła, przerzucanie pomostów do Magisterium dawniejszego niż osobista pamięć większości biskupów...²

² P. Milcarek, *Wobec Kościoła wszystkich czasów*, „Christianitas”, nr 40/2008.

Nieco wcześniej, w grudniu 2007 roku, dość buńczucznie pytałem na swoim blogu:

Co dzieje się w naszych seminariach, czy odprawia się tam Mszę tradycyjną, czy uczy się starego mszału? Nawet jeśli nie wszyscy księża muszą odprawiać mszę tradycyjną, to z pewnością wszyscy powinni znać jej zasady, ponieważ może zająć potrzeba jej odprawienia, ponieważ to papież nałożył obowiązek jej znajomości ostatnim dokumentem. Nie mamy do czynienia z rytym lokalnym, ale z nadzwyczajną formą rytu powszechnego. Czy czytają mnie jacyś księża, seminarzyści? Jak to jest w tym katolickim i ponoć ultramontańskim kraju?³

³ T. Rowiński, *NOM-owiec o Trydencie (perturbacje współczesne)*, trowinski.blogspot.com, 15.12.2007.

Pewne rzeczy się nie zmieniły zbyt przez te dziesięć lat, dawna liturgia wciąż zyskuje popularność dzięki bardzo już licznym środowiskom świeckich, którzy w starych formach odnajdują zawsze odnawiające źródło życia duchowego. Właściwie tak chciał Sobór Watykański II, świeccy stali się stanem w Kościele, który dziś zachowuje to, co duchowni chcieliby może porzucić. Paradoks – z perspektywy historii – tej sytuacji zauważył Paweł Skibiński w swoim studium na temat soborowej teologii laikatu:

Paradoksalnie więc możemy zaryzykować tezę, że bez soborowego nauczania na temat świeckich znacznie trudniej byłoby wiernym przywiązaniem do tradycji łacińskiej skutecznie upominać się o miejsce tradycji liturgicznej w życiu Kościoła...⁴

⁴ P. Skibiński, *Soborowa teologia świeckich i jej paradoksalne skutki*, „Christianitas”, nr 51/2013.

Nie pamiętam już tej Mszy (moja Żona także nie), która zapoczątkowała nasze regularne uczestnictwo w liturgii rzymskiej;

na pewno było to w podwarszawskim Brwinowie. Po niej nastąpiły jednak setki kolejnych Mszy, które ułożyły się w życiowe doświadczenie, że ta „forma nadzwyczajna” jest już dla naszej rodziny formą zupełnie zwyczajną w przeżywaniu wiary. I Bogu dzięki za takie czasy w Kościele. ■



E-BOOKI “BIBLIOTEKA CHRISTIANITAS”
NOWOŚCI NA TYNIEC.COM.PL